Cena pojedyn. numeru 30 groszy. Należność pocztowa uiszczona ryczałtem

Nr. 38 Warszawa, dn. 25 sierpnia 99 r. Rok I.

PLACÓWKA

POLITYCZNA — SPOŁECZNA — GOSPODARCZA — KULTURALNA

PISMO TYGODNIOWE DLA WSZYSTKICH

TREŚĆ NUMERU:

NA PORZĄDKU DZIENNYM

KASY CHORYCH

Zapoczątkowana przez obecnego ministra pracy i opieki społecznej akcja „oczyszczenia“ Kas Chorych z wpływów „partyjnych“ rozwija się w dalszym ciągu według ustalonego programu. Na tle tej akcji obserwujemy nawet oryginalną przy dzisiejszych stosunkach w Polsce sytuację, że znajduje się w składzie Rządu minister, którego działalność w kołach opozycji prawicowej wywołuje już nie ciche nawet zadowolenie, ale i głośny poklask w prasie.

W tej sytuacji mało kto poza bezpośrednio zainteresowanymi — troszczy się o przesłanki prawne wszczętej akcji, o jej cel konkretny. Opinję publiczną, coraz bardziej wrażliwą na punkcie obrony zasad praworządności w życiu publicznem — uspokojono zapewnieniem, że sanacja instytucyj ubezpieczeniowych w Polsce jest niezbędną, a zresztą chodzi w tym wypadku o złamanie przewagi wpływów partji socjalistycznej, która w Kasach Chorych uwiła sobie główne gniazda swej siły.

„Wyjaśnienia“ te ze stanowiska rzeczowego nie wytrzymują najmniejszej krytyki. Na czem ma polegać owa „sanacja“ Kas Chorych, o której Rząd sanacyjny przypomniał sobie naraz w czwartym roku istnienia — nikt tego nie wyjaśnił. Jeżeli chodzi o t. zw. nadużycia — których zresztą nikt nie ujawnił, od tego istnieją organa kontrolne Ministerstwa Pracy, a następnie władze prokuratorskie. Ale o tem głucho. „Sanacja“ rozrzutnej jakoby gospodarki administracyjnej zaczyna się, jak donosi prasa codzienna, od parokrotnie wyższych płac nowomianowanych komisarzy. Zespół tych ostatnich dowodzi już ponad wszelką wątpliwość, że w danym wypadku idzie o akcję ściśle partyjną, o stworzenie podstaw dla działalności konkurencyjnej z P. P. S. grupy, rzekomo też socjalistycznej.

Taki tedy jest bezpośredni polityczny cel wszczętej z takim hałasem akcji „sanacyjnej“ p. min. Prystora. Trzeba to wyraźnie ustalić. A skoro tak, to dla opinji niezależnej los P. P. S. może być conajmniej obojętny, zwłaszcza gdy obrywa ona razy od tych, którym w dojściu do władzy w maju 1926 r. lekkomyślnie pomagała. Zostawmy ją własnemu przeznaczeniu, z którem jakoś sobie przecież radzi. Nie może jednak być rzeczą obojętną, że pod firmą Rządu, z funduszów państwowych prowadzi się akcję czysto partyjną, nic z dobrem instytucyj publicznych wspólnego nie mającą, podkopującą w masach i tak wątłe poczucie prawa. Jedynym zaś, jak dotąd, pozytywnym rezultatem tej akcji jest znaczne zradykalizowanie taktyki opozycyjnej P. P. S. i wysuwanie się w niej na czoło bardziej nieprzejednanych działaczy. Zaprawdę i wysokie sfery rządzące i niebacznie je aklamujące żywioły na naszej prawicy społecznej, powinny zrozumieć, że ta gra państwo za drogo kosztuje.

PO SMUTNYM ZJEŹDZIE.

Zjazdy legjonówe od szeregu lat urobiły sobie uznaną i — przyznajmy — dość sympatyczną tradycję. I to nie tylko dla tych, którzy na Legjonach (czasem wbrew wszelkiemu spodziewaniu) porośli w pierze, ordery i karjery, ale i dla tego szarego żołnierstwa, które dawno wycofało się poza mundurowe lub rządowe szranki, pracując sobie cicho w rozmaitych dziedzinach społecznego życia.

Prócz pięknych, choć bolesnych nieraz, wspomnień został tam przecie dla nas wszystkich strzęp cudownej młodości, pełen nadziei i polotu, buńczucznej, szczerze, arcyszczerze polskiej.

Dla tego miło to było, gdy rok po roku, w coraz to innem mieście, ściągała się dawna wiara, odżywały dawne niezapomniane wspomnienia, związki przyjaźni nieraz tak zażyłej, a potem jakoś przygasłej. I śpiewało się wówczas pełnym głosem i z pełnego serca: „Niech żyje nasza serdeczność, serdeczność!.."

Nie było wówczas „brygad" zwaśnionych, nie było zazdrości ani ambicyj wygórowanych; czynny generał gawędził sobie radośnie z bywszym „panem sierżantem", który teraz, tak od niechcenia, jest sobie dyrektorem banku lub profesorem uniwersytetu .... Jednego tylko dawne zjazdowe towarzystwo mocno nie lubiło: gdy wpychał się w to grono jakiś świeżo wylakierowany intruz, nouveau - riche legjonowy, który dość późno zapisał się do „kadrówki". To też mocne były już uśmiechy i pokpiwania, gdy w ostatnich latach w Kaliszu czy w Wilnie rdzenną ideologję legjonową reprezentował p. Meysztowicz pod rękę z Niezabytowskim, na godnego kompana przybierając sobie np. Janusza Radziwiłła. A do tego tłum jakichś generałów i szarż wysokich austrjackiego lub rosyjskiego autoramentu, który za polskich jeszcze (ale przed majem) czasów głośno manifestował swą pogardę dla legjonowych dyletantów. A jednak przybiegli truchcikiem, cenne usta pilnie sobie płócząc po dawnych ujadaniach.

To wszystko jednak można było wycierpieć — tyle, że kpin i śmiechu było sporo. Ostatni zjazd jednak, który początkowo odbyć się miał w Poznaniu, jakby dla ostatecznego „zdobycia" Wielkopolski, a usadowił się wreszcie w miłej stolicy Podhala — pozostawił rozczarowanie, niesmak, wrażenie wprost ponure.

Zdarzyło się tak, że marszałek Piłsudski nie chciał tym razem pogawędzić ze swoją legjonową wiarą; trudno — przemęczenie, nerwy, nawał zajęć. Wszystko to możliwe. Ale też odrazu, gdy ten główny punkt i splendor zjazdu odpadł i satelici też lekceważąco obrócili się tylną stroną medalu. Żaden minister nie był łaskaw w on czas „legjonowego tryumfu" pofatygować się do Sącza — bo i po co? Błyszczeć w znakomitym orszaku, pętać się w dostojnym marszałkowskim ogonie — to przyjemność i duma nielada, ale tak wśród pospolitaków, wśród tej zwyczajnej „hołoty"? Fe — to pachnie gminem. Toż samo pomyśleli sobie co wybitniejsi generałowie i też swych cennych kości na długą podróż narażać nie chcieli; czy nie wystarczy „ serdeczna" do „dawnych towarzyszy broni" depesza?

Tak więc, gdy zabrakło wysokiej arystokracji — zjazd tegoroczny przedstawiał widok wybitnie proletarjackiego sejmu.

Ale co więcej, nie było też entuzjazmu. Wyczuwało się doskonale, że wśród tego tłumu naogół obcych twarzy — drobniutką tylko cząstkę przedstawiają prawdziwi legjoniści; reszta to zwyczajne „delegacje" na rozkaz i za djetami sprowadzane z szeregów „Strzelca" gdzie jak wiadomo mnóstwo się przytuliło wszelakiego tałałajstwa, które reprezentować może wszystko i wszystkich. Na każdym zjeździe. Byleby tylko zapłacili drogę i mocno dali popić ...

Taką to piszczką łatwo dało się wyciągnąć parę tysięcy uczestników, którzy wprawdzie w Legjonach nic nie mieli do czynienia, ale „Pierwszą brygadę" śpiewają jak zawołani.

Nad tem towarzystwem królował z roku na rok dostojniejszy Sławek, ględził słabnący na umyśle Polakiewicz, a szalał i krzątał się Bolcio Pochmarski, poczciwy, wiecznie zasmarkany belferzyna z Krakowa, który — o ile nas pamięć nie myli — nie posunął się nigdy bliżej frontu, jak 10 kilometrów od linji najcięższego obstrzału, siedział pilnie w N. K. N. w Krakowie i ujadał na I - szą brygadę co się zowie.

Ale cóż się dziwić, że taki w Nowym Sączu wyskoczył wodzirej, gdy łaskawy telegram z nad Atlantyku przysłał sam prezes „legjonowego" rządu, który ani pięć minut w żadnym pułku nie był, brylował, jako adjutant - podskakiewicz w Departamencie Wojskowym i najpierwszy, gdy zaczęło coś śmierdzieć, cmychnął na austrjacką reklamację ...

Nie można się więc dziwić, że ta garstka legjonistów, która znalazła się na zjeździe, oglądała dziwne w Polsce sprawy ze zwieszonymi nieco nosami, a sarkania i odruchy protestu głośno się odzywały. Doszło do tego, że w podochoconym nastroju niemal srodze nie obito pewnego popularnego (choćby z ul. Smolnej) majora żandarmerji, który ma to wątpliwe szczęście, że nosi brodę akurat taką samą, jak „patentowany" legjonista min. Prystor ...

Ogółem — rozczarowanie okrutne, z którego chyłkiem wyjeżdżający luminarze doskonale zdawali sobie sprawę.

Ale trudno — nieopatrzna i nerwowa polityka sanacyjnej góry uwzięła się, ażeby zniszczyć w Polsce wszelkie autorytety; zjazd w Nowym Sączu okazał, że w tej metodzie zagalopować się można bardzo daleko, gdyż jeszcze jedna taka manifestacja, a łatwo będzie ośmieszyć i zniszczyć piękno, zasługi i autorytet Legjonów ..

Dlatego zjazd zostawił wrażenie bardzo smutne. Takie też będą i skutki.

Czwartak.

HANDEL PAMIĄTKAMI.

Gdy przedostatnia właścicielka Wilanowa, p. Augustowa Potocka, umierała, postanowiła dobra wilanowskie zapisać nie domniemanemu sukcesorowi, który nosił imię i nazwisko jej męża, lecz hr. Branickiemu. Rozumiała ona, że historyczny Wilanów musi być oddany w ręce pewne, które nie roztrwonią zgromadzonych w nim skarbów, gdyż te z natury stanowiły własność nie Potockich, nie Branickich lub ich kolligatów, lecz całego narodu.

W przedwojennej Warszawie było to okolicznością nad wyraz pomyślną, że ów niezrównany zbiór pamiątek po królu, który obronił chrześcijaństwo, znajdował się w prywatnem ręku. Wiadomo, że rządy zaborcze uważały się za spadkobierców dawnego skarbu Rzplitej, przeto bez wahania i skrupułów rozporządzały wszystkiemi zabytkami kultury i sztuki, jakie znajdowały w muzeach, bibljotekach, zamkach i pałacach. Pani Hurkowa, głośna Marja Andrejewna, posunęła się w akcji rabunkowej tak daleko, że wyprowadzając się z Zamku Królewskiego wywoziła w swym bagażu nawet kominki marmurowe i jaspisowe. Pozostał nietkniętym tylko jeszcze Wilanów, tam też pielgrzymowała cała stała i niestała ludność stolicy, spragniona od czasu do czasu podumać „nad pomnikiem chwały".

Niepodległa Polska zakrzątnęła się o odzyskanie wielu pamiątek, które w czasie najazdu stały się łupem zaborców, było to zresztą tylko niejaką rekompensatą za ponowne zniszczenie, którego ofiarą padły liczne placówki kultury polskiej, dwory i pałace na wschodnich Kresach. Nikt nigdy nie zliczy ile cennych księgozbiorów, dokumentów, pamiątek artystycznych kolekcyj — zginęło w ogniu bolszewickiej pożogi. Po przewrocie rosyjskim ukazało się nagle na międzynarodowym rynku mnóstwo cennych antyków, które puszczali w obrót handlowy bądź to rabusie sami, bądź też obrabowani przez nich nowi nędzarze. I któżby się mógł dziwić, że mimo nabożnego kultu dla tradycji narodowej i pamięci przodków, kto nie ma dachu nad głową, ani środków do życia, woli sprzedawać cenne kobierce, minjatury, klejnoty, niż żebrać.

Ale na szczęście najazd bolszewicki nie dosięgnął aż do Wilanowa. Właściciel tej ongi królewskiej rezydencji nie popadł w nędzę; jest, jak był, magnatem, posiada prócz 14 folwarków wilanowskiego klucza jeszcze inne rozległe dobra ziemskie w Polsce i we Francji i zaiste nikt nie uwierzy, by nie miał co w garnek włożyć, o ile pomiątek po królu Sobieskim wyprzedawać nie zacznie.

I oto zdarzyło się ku zdumieniu ogółu, że skarb polski zmuszony był interwenjować, aby ocalić od wywiezienia z kraju cennego dywanu, pamiątki po obrońcy Wiednia. Nie bolszewiccy rabusie puszczali go na handel, lecz sam pan hrabia, dziedzic na Wilanowie, Rosi, Montresor...

Testatorka pewnie przewróciła się w grobie.

Przecież właśnie dla uniknięcia takiej straty i takiej kompromitacji usunęła od spadku wesołego Gucia, o którego hulankach i długach opowiadała głośno cała Warszawa. Dlatego osadziła w pałacu wilanowskim krewniaka równie słynnego z oszczędności, jak tamten słynął z marnotrawstwa.

Pokazało się, że każdy nadmiar jest niebezpieczny i że można idąc we wręcz odwrotnym kierunku spotkać się u jednego celu. Potocki bez opamiętania rozrzucał pieniądze, tak nimi gardził; Branicki ma dla nich kult, wykluczający wszelkie inne, nawet te, któreby się zdawać mogły cechą przyrodzoną potomków starych rodów: kult pamiątek i tradycji.

Co prawda, tradycje rodu Branickich są najmniej krępujące z pomiędzy wszystkich rodzin historycznych. Potomkowie hetmana mogą sobie pozwolić na niejedno. Tak więc w roku ciężkiego przesilenia gospodarczego w kraju, w którym niema środków na złagodzenie nędzy urzędniczej i głodu mieszkaniowego, nagle i bez zwłoki musiano wyłożyć 860000 złotych, by zachować dla Polski pamiątkę po królu Janie III-im.

Mieliśmy ongi magnatów różnych, złej i dobrej sławy, ale byli między nimi i tacy, którzy z nagromadzonych przez siebie skarbów składali ofiarę ojczyźnie. — Że ten rodzaj nie wyginął doszczętnie — świadczy fundacja Kórnicka.

Nie wyginął jednak niestety i typ targowiczan: niczego nie darują, a umieją wchodzić w targi. Sprawa jest drobna, ale wstyd duży.

I. Moszczeńska.

PO POGRZEBIE...

W ubiegły poniedziałek stolica kraju oddała ostatnią posługę zwłokom ś. p. maj. Idzikowskiego. Śmiertelne szczątki tego, który po dwakroć sięgał po laury dla polskiego imienia — w maleńkiej, jakby dziecinnej trumnie spoczęły na rodzinnej ziemi.

Warszawa tłumnym udziałem w uroczystościach pogrzebowych, poważnym nastrojem ulicy i serdecznem ciepłem prasy, wzięła udział w tym smutnym akcie. Wszyscy czuli, że chowają kogoś choć zbliska nieznanego, ale drogiego, że hołd ostatni oddają młodości, co na prawdę parła się „ nad poziomy" żeczczą szlachetną ambicję, nie dla siebie, ale dla Polski i jej chwały.

A jednak było coś w tym podniosłym nastroju pogrzebowym, coś, o czem może mówić zaraz nie .... wypadało, czego jednakże zamilczeć nie wolno... Przedsięwzięcie, w którego tragicznym wyniku ś. p. major — pilot Ludwik Idzikowski złożył w ofierze swe młode życie — nie było byle jaką imprezą. Gdy samolot jego o dumnej nazwie, wzniósł się w przeddzień krytycznego dnia z francuskiego lotniska, fala entuzjazmu przeszła przez całą Polskę. Jedni w niej widzieli tylko wielkość czynu polskiego, dla innych milsze były inne momenty...

Ś. p. Idzikowski padł jak żołnierz na posterunku. Jak żołnierz — bohater. A jednak gdy stolica, jako takiemu hołd oddawała w orszaku żałobnym brak było reprezentantów Rządu Rzeczypospolitej, nieobecnego ministra spraw wojskowych nie zastąpił żaden z czynnych wiceministrów...

Ten brak był przykrym bolesnym zgrzytem, może tylko zresztą niedopatrzeniem, ale niedopatrzeniem które nie powinno było mieć miejsca...

BURZENIE SAMORZĄDU.

W „Gazecie Administracji i Policji Państwowej" wydawanej przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, ukazał się artykuł dr. Jaroszyńskiego, b. podsekretarza stanu, o czynniku obywatelskim w organizacji administracji ogólnej. Autor specjalnie zatrzymuje się na rozporządzeniu Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 19 stycznia 1929 r. i zwalcza tezę profesora Jaworskiego, iż rozporządzenie owo przesądza o dalszym rozwoju samorządu terytorjalnego w Polsce, pozostawiając mu, poza działalnością dobrowolną w dziedzinie administracji publicznej, tylko te agendy, które mu zleci rząd, jako władzy państwowej. Publicysta rządowy, wbrew temu, twierdzi, że rozporządzenie to „przepojone jest ideą uobywatelnienia i decentralizacji administracji" i „pchnęło sprawę udziału obywateli w wykonywaniu zadań administracji publicznej — na nowe i zupełnie już realne tory".

Dr. Jaroszyński należy do specjalnego rodzaju praktycznych teoretyków, którzy albo nie dostrzegają wcale z wyżyn swej teorji realnych przejawów życia, albo też nie chcą ich dostrzegać ze względów praktyczności osobistej. Nie będziemy się tutaj zastanawiali nad teoretycznem zagadnieniem, kto ma tutaj rację: czy przypuszczalny współtwórca tego rozporządzenia w osobie b. podsekretarza stanu, czy też prof. Jaworski, którego chyba trudno posądzać o brak życzliwości w stosunku do obecnego rządu lub o nadmiar krytycyzmu do jego zarządzeń. Interesuje nas tu tylko strona praktyczna, mianowicie, jak się istotnie, realnie przedstawiają w życiu owe „nowe tory", na które został „pchnięty" nasz samorząd.

Oto... nieprzyjaciel...

Otóż życie zadaje stanowczy kłam obrońcy rządowemu, a jego „nowe tory" — to spadzista, karkołomna pochyłość w przepaść, po której stacza się na łeb na szyję nasz samorząd.

Główne hasło dzisiejszego rządu — walka z parlamentaryzmem, — nie mogło nie odbić się donośnem echem i w dziedzinie samorządu. Rzucony na terenie politycznym program tłumienia czynnika obywatelskiego musiał znaleść swe konsekwencje w stosunku organów rządowych do tego czynnika i na innych polach. Metody, stosowane do pognębienia przedstawicieli społeczeństwa w parlamencie, musiały dać naśladowców i na węższych terenach miejscowych. Za przykładem „wielkich" różni „mali", każdy w swym zakresie, poczuli się też powołanymi do pogardliwego lekceważenia dążeń i uczuć obywateli. Powstała cała hodowla rasy miejscowych kacyków, którzy zgodnym równoległym atakiem rzucili się na samorząd z okrzykiem: „voila l'ennemi"!

Szybko zamarły przelotne koncepcje zastąpienia parlamentu przedstawicielstwem samorządów zawodowych. Zrozumiano niebawem, że i takie przedstawicielstwo mogłoby się zdobyć na swoją wolę, zapragnąć samodzielności i przeciwstawić się rządowi. Polityka niwelowania czynnika społecznego zapanowała na całej linji. Postawiono sobie za zadanie odsunąć społeczeństwo jaknajdalej od rządów, zwalczając jego stały wpływ na nie i ograniczając jego możność przejawiania woli tylko do okresu wyborów. Przy wyborach zaś zdecydowano się oprzeć na administratorach o „silnej ręce", którzy korzystając z rozbicia społeczeństwa i jego bierności, poprowadzą je, gdzie zechcą.

Zburzyć okopy samorządowe!

W tych warunkach i w takiej atmosferze rzecz prosta, nie może być mowy o jakimkolwiek rozwoju samorządu. Przeciwnie, gdy okopy samorządowe stanowią tamę, o którą rozbijają się fale powszechnej samowoli biurokratycznej, to z natury rzeczy pojawić się muszą tendencje burzenia tych okopów. Widzimy to na wszystkich szczeblach i we wszystkich rodzajach samorządu.

W samorządzie zawodowym poszczególni ministrowie tak daleko posuwają swą ingerencję, że wywierają nawet nacisk na skład osobisty reprezentacji tych organizacyj, grożąc w razie nieuwzględnienia ich życzeń temi lub innemi represjami. Tak było w organizacjach rolniczych, które zmuszono groźbą cofnięcia zasiłków rządowych do usunięcia niemiłych rządowi członków zarządu. Tak było przy wyborach do izby przemysłowej w Łodzi, gdzie przeforsowano niemal siłą kandydata rządowego.

W samorządzie terytorjalnym stokroć jeszcze bezwzględniej postępują starostowie. W dużej mierze rekrutują się dzisiaj z kół dawnych wojskowych. Już sam dawny zawód ich, kształcący w kategorycznem rozkazywaniu i absolutnem posłuszeństwie, musiał się odbić na ich psychice i czynił ich mało podatnymi do współdziałania ze społeczeństwem. Na dobitek te naturalne ich popędy są jeszcze nader silnie podniecane z góry, gdzie za największą zaletę administratora uważa się umiejętność „brania społeczeństwa za łeb". Jako przewodniczący sejmików powiatowych, starostowie już siłą ustawy mają przemożny wpływ na te ciała samorządowe, a obecnie przez stosowanie nacisku rządowego sprowadzają ich rolę w wielu wypadkach do zera.

Serwilizm górą!

Jeśli w ten sposób starostowie załatwiają się z samorządem powiatowym, to można sobie wyobrazić, co się dzieje w gminach, które ustawowo podporządkowane są wydziałowi powiatowemu, sprawującemu nad niemi nadzór. Na porządku dziennym mamy tam usuwanie niemiłych staroście wójtów, którzy ściągnęli na siebie jego niełaskę, rozwiązywanie rad gminnych, wyrzucanie na bruk pisarzy gminnych, którzy więcej oddawali się pracy samorządowej, niż wykonywaniu rozkazów starosty, i nie byli w jego rękach ślepem narzędziem.

W ostatnich czasach rząd zwrócił zwłaszcza baczną uwagę na pisarzy gminnych, uważając ich za główny organ do trzymania w garści całej gminy. Opanowawszy całkowicie ich związek zawodowy przez serwilistyczne jednostki, tępią władze nieubłaganie najmniejsze objawy w ich łonie jakiejkolwiek samodzielnej myśli, pragnąc uczynić z nich posłuszną na każde skinienie armję.

Ponieważ w samorządach miejskich niema organu rządowego, przez który możnaby je silnie ścisnąć, przeto tutaj rząd stosuje inną taktykę. Poprostu korzysta z najmniejszej okazji, aby rozwiązać tę lub inną radę miejską i mianować na jej miejsce komisarza rządowego. Taki komisarz rządowy rozporządza sobie dowolnie funduszami miejskimi, zmienia urzędników, wprowadzając do magistratu swych protegowanych i przygotowuje grunt dla rządu przy przyszłych wyborach miejskich. W ten sposób w całym szeregu miast, nie wyłączając nawet tak wielkich, jak Lwów, samorząd został poprostu zawieszony na kołku.

„Radosne burzenie"

Jeśli dodamy do tego wszystkiego katastrofalny stan finansów samorządowych, który nie pozwala na większe inwestycje w żadnej dziedzinie, to będziemy mieli obraz zaiste rozpaczliwy. Finanse od początku istnienia państwa polskiego były słabą stroną samorządu naszego, gdyż rząd ze względów niezdrowych, konkurencyjnych dążył do uszczuplenia dochodów samorządowych, aby ich kosztem powiększyć własne. Tego rodzaju szkodliwa polityka mogła jeszcze znajdować pewnego rodzaju wytłumaczenie na początku istnienia państwa i w najkrytyczniejszych momentach walki o stałą walutę. Ale już niczem absolutnie nie jest usprawiedliwione kontynuowanie tej polityki finansowej przez obecny rząd, który przecież przyszedł do steru przy pomyślnej konjunkturze lat tłustych.

Rząd nie chce tego zrozumieć, że ożywienie działalności samorządowej ożywi jednocześnie życie gospodarcze kraju i przez to stworzy dla rządu nowe źródła dochodu. Tymczasem rząd, monopolizując w swem ręku wszystkie środki finansowe kraju, paraliżuje jednocześnie rozwój życia gospodarczego i tem samem podcina własnoręcznie gałęź, na której siedzi.

Zaiste tak ciężkiego kryzysu nie przeżywał samorząd nasz nawet w okresie rządów zaborczych. W tej dziedzinie już nie można mówić o „radosnej twórczości", ale chyba o „radosnem burzeniu".

A wszak samorząd — to podstawa wolności obywatelskiej. Bo prawdziwa wolność zależy nietylko od urządzeń politycznych, jak również i od ustroju administracyjnego. Demokracja nie znajdzie swego pełnego wyrazu, o ile nie zdobędzie odpowiednich form organizacyjnych dla przejawienia swego wpływu w zarządzie krajem. Samorząd — to szkoła życia obywatelskiego, z której wychodzą najtęższi działacze polityczni.

Tak krzewi wolność i demokratyzm, tak wychowuje naród — sanacja!

W. D. Goździkowski.

PERSPEKTYWY WOJNY CHIŃSKO-ROSYJSKIEJ.

I

Ciągle jeszcze jesteśmy w niepewności, czy istniejący obecnie antagonizm chińsko-rosyjski doprowadzi do wojny, czy nie.

Na nic tu się nie zda mozolne zestawianie ze sobą rozmaitych depesz z pogranicza sowiecko-chińskiego, ponieważ są często sprzeczne. Niepodobna więc narazie wyprowadzić żadnych wniosków pewnych w tej sprawie. Nie mam też zamiaru zabawiać czytelników „Placówki" proroctwami na temat powyższy, pragnę tylko rozważyć znaczenie zarysowującego się obecnie coraz wyraźniej antagonizmu rosyjsko-chińskiego dla Polski.

Czy zatarg ten załagodzony zostanie, czy też doprowadzi do wojny, faktem jest, że istnieje, oraz że całkowite jego zażegnanie jest nader trudne, jeżeli już nie niemożliwe.

Chiny wyzwalające się obecnie z pod wpływów państw europejskich nie mogą obojętnie spoglądać na ekspansję rosyjską w Mandżurji, połączoną z propagandą bolszewicką na ich terenie, która podkopuje podstawy bytu ich państwowego i społecznego. Dlatego też liczyć się należy z tym faktem, że antagonizm powyższy, prędzej czy później, przeobrazi się w wojnę. Być może, że ta w chwili obecnej pożądaną nie jest, jak przypuszczają niektórzy, dla stron obu. Być może także, że Chiny nie są w tej chwili do wojny całkowicie przygotowane i pragną zyskać na czasie tylko. Faktem jest jednak niewątpliwym, że w Chinach istnieje już armja rosyjska antybolszewicka, że pomiędzy niektóremi jej oddziałami, a wojskami sowieckiemi odbywają się już utarczki, że wreszcie armja ta rośnie, że wstępują do niej byli oficerowie rosyjscy, którzy od lat kilku zamieszkiwali w rozmaitych państwach europejskich.

Skoro więc armja ta wzmacnia się jawnie, na terenie chińskim, to oczywiście dzieje się to za wiedzą i aprobatą władz chińskich, co dużo daje do myślenia.

II

Sowiety znajdują się obecnie w nader ciężkich warunkach, ogromna większość włościan rosyjskich jest przeciwko nim, a armja bolszewicka składa się przeważnie z synów chłopskich, o czem ostrzegał Woroszyłow na naradach decydujących kół bolszewickich.

W razie wojny rosyjsko-chińskiej, w której rosyjskie wojska antysowieckie brałyby udział, mogą łatwo zajść wypadki przechodzenia poszczególnych oddziałów wojsk bolszewickich do przeciwnego obozu. W ten sposób rosyjska armja antybolszewicka mogłaby wzrastać, nabierając coraz większego znaczenia. Jeżeli dodamy do tego możliwość lokalnych powstań chłopskich na terenach bliskich od punktów walki, to łatwo można sobie wyobrazić, że w takich warunkach panowanie komunistów w Rosji mogłoby się skończyć.

Upadek Sowietów byłby dla nas objawem bardzo korzystnym.

Przedewszystkiem skończyłyby się machinacje komunistyczne, przedsiębrane przeciwko Polsce i występujące w rozmaitych formach, a więc: w postaci agitacji komunistycznej u nas, w popieraniu przez Sowiety antypaństwowych prądów ukraińsko białoruskich.

Oczywiście, prądy komunistyczne w Polsce nie przestałyby istnieć, zwłaszcza w czasie najkrótszym,

Perspektywy wojny chińsko-rosyjskiej (c. d.)

również antypaństwowe prądy wśród ludności ukraińskiej i białoruskiej nie zniknęłyby całkowicie; nie mając jednak poparcia ze strony Sowietów bardzo znacznieby osłabły. Upadek komunizmu w Rosji spowodowałby powrót do bardziej normalnych form ruchów socjalnych w Europie.

Obawy, aby upadek rządów komunistycznych w Rosji miał spowodować szybkie dojście do władzy żywiołów, reprezentujących w Rosji „stary porządek" — są przesadzone.

Wprawdzie powrót do monarchji, zbliżonej do dawnego przedwojennego typu, nie jest bynajmniej wykluczony, ale monarchja taka musiałaby przede wszystkiem rozpocząć odbudowę kraju i reorganizację społeczeństwa.

Bez względu na to, jaki rząd przyszedłby w Rosji, po okresie walk wewnętrznych, musiałby się starać o bardzo duże kapitały obce, wobec braku krajowych; Rosja kapitały takie otrzymałaby, ale ci, co by je dali, zażądaliby daleko idących koncesyj gospodarczych i gwarancyj, że przez czas dłuższy rząd unikać będzie rozmaitych przedsięwzięć awanturniczych, zakłócających normalny rozwój stosunków ekonomicznych.

III

Antagonizm chińsko-rosyjski prowadzi z konieczności do zainteresowania się Chin stosunkami Rosji do innych państw, a więc i do Polski. Jak już zaznaczyłem w jednym z poprzednich artykułów — nie leży w interesie naszym prowadzenie polityki wojennej, czy to na Wschodzie, czy na Zachodzie, ale z tego nie wynika bynajmniej, abyśmy nie byli zainteresowani w nawiązaniu takich stosunków polityczno-dyplomatycznych, które przyczynićby się mogły do utrwalenia naszego bezpieczeństwa, naszych granic obecnych.

Nie dążąc do żadnych zaborów mamy obowiązek dbać o to, aby utrzymać nasz stan posiadania. Otóż pod tym względem antagonizm chińsko-rosyjski ma dla nas bardzo poważne znaczenie. Nawiązanie bliższych stosunków z Chinami jest nader pożądane.

Wracając do możliwej wojny rosyjsko-chińskiej zauważyć należy, że nie groziłaby ona nam żadnemi niebezpieczeństwami. Wojna taka nie przeobraziłaby się, bynajmniej, w nową — światową; natomiast mogłaby przyśpieszyć upadek Sowietów, tak dla nas, jak i wogóle dla cywilizacji, pożądany.

Rozumieją to i niektóre patrjotyczne koła rosyjskie, które słusznie upadek rządów komunistycznych uważają za warunek niezbędny dla normalnego rozwoju swej ojczyzny.

W każdym razie sam fakt istnienia naprężonych stosunków pomiędzy Chinami a Rosją — osłabia Sowiety, pochłaniając znaczną część ich energji państwowej.

Stanowisko Japonji dotychczas pozostaje dwuznacznem. Niewątpliwie nie pragnie ona wzmożenia się Rosji, zwłaszcza Sowieckiej; ale nie życzy też sobie zbyt dużej potęgi Chin. Na jaką politykę się zdecyduje — trudno przewidzieć. Dużo przemawiać się zdaje za tem, że pragnęłaby, aby stosunki na Wschodzie pozostały bez zmiany. Jeżeli tak jest istotnie, to polityka jej jest krótkowzroczną, gdyż dalsze trwanie państwa Sowieckiego i dla jej porządku wewnętrznego poważne przedstawia niebezpieczeństwo.

Dyplomacja nasza winna baczną zwracać uwagę na sprawy Wschodu i wyzyskiwać umiejętnie istniejące tam stosunki dla utrwalenia naszego bytu państwowego.

Ludwik Kulczycki.

Słowa, zapowiedzi — fakty, dokumenty.

Najlepszy probierz

Artykuł nasz o świeżo ogłoszonej przez Rząd pragmatyce służbowej dla pracowników kolejowych (Dziennik Ustaw nr. 57 z dn. 6-go sierpnia 1929 r.) wywołał żywe zainteresowanie w kołach naszych czytelników. Z kół kolejarskich otrzymaliśmy kilka listów, w których poza szeregiem uwag rzeczowych o nowej pragmatyce skierowano pod naszym adresem słowa uznania z powodu faktu, że — jak dotąd — poza prasą fachowo-zawodową — jedyna „Placówka" zajęła męskie i otwarte stanowisko w obronie 200 tysięcznej rzeszy kolejarzy polskich.

Nietylko jednak kolejarzy zainteresowała ta sprawa. Odezwali się także przedstawiciele innych sfer z pośród pracowników państwowych, słusznie uważając, że sposób w jaki Rząd potraktował najliczniejszy i najlepiej zorganizowany odłam pracowniczy, jest najlepszym probierzem stosunku całego rządzącego dziś Polską obozu do świata pracy wogóle, a do rzesz pracowników państwowych w szczególności.

Rozmiary naszego tygodnika uniemożliwiają nam wykorzystanie tak interesującej korespondencji. Miła to niespodzianka dla pisma, że jego głos znajduje tak żywe i szerokie echo wśród licznej rzeszy pracowniczej, ale względy publicystyczne, jako w tym wypadku „wyższej racji" przeciwstawiają się wydawaniu jakiegoś specjalnego „numeru kolejarskiego".

Z uwagi jednak, że sprawa, jak to już zaznaczyliśmy, ma charakter ogólny i zasadniczy, pragniemy przynajmniej z licznego kompleksu uwag i poglądów wysnuć kilka momentów bardziej charakterystycznych, przepraszając najmocniej naszych korespondentów, że jedynie w ten sposób możemy z ich miłego „współpracownictwa" skorzystać.

Obiecanki cacanki

Wśród głosów malujących rozczarowanie świata pracowniczego z powodu tak jaskrawego potraktowania interesów pracowników kolejowych — wybija się jeden, którego autor (J. K.) czyni bilans szumnych zapowiedzi obozu rządzącego na temat „wyzwolenia pracy", w zestawieniu z ogólnemi wynikami polityki rządowej w tej dziedzinie. Przypominając pierwszą deklarację programową p. Bartla w Sejmie, w kilka tygodni po przewrocie majowym o mocnych, ba nawet radykalnych akcentach

pod adresem klas pracujących — autor charakteryzuje następnie owe kręte drogi polityki p. Bartla w sprawie uregulowania płac pracowników państwowych. Gdyby dziś — zacytować można — te liczne zapowiedzi za pośrednictwem usłużnej prasy, co do terminów, w których „nieodwołalnie" nastąpi zasadnicza regulacja istotnie nędznych — jak łaskawie przyznawał p. premjer sanacyjny — płac pracowniczych — opinja z przerażeniem stwierdziłaby mogła jak lekkomyślnie, niepoważnie bez widocznej dobrej woli i chęci dotrzymania dawanych zapowiedzi — igrano z nędzą pracowników państwowych. Tempo zapowiedzi rosło progresywnie w miarę zbliżania się wyborów. Podczas nich osiągnęło swój punkt kulminacyjny w oficjalnych, nawet za pośrednictwem radja podawanych zapowiedziach szefa Rządu i innych ministrów, że sytuacja finansowo - gospodarcza państwa jest dzięki rządom pomajowym tak dalece skonsolidowaną, iż już niedługo przystąpić będzie można do definitywnego uregulowania tego ważnego problemu.

Gdy wybory minęły...

Po wyborach sytuacja uległa dziwnemu zamieszaniu. Okazało się, że nadwyżki budżetowe, aczkolwiek znaczne — wszak umożliwiły przekroczenie wydatków ponad preliminarz o sumę zgórą 560 miljonów zł. w jednym roku budżetowym — nie są tego rodzaju, aby umożliwiały przystąpienie do realizacji problemu płac pracowników państwowych. Wówczas to rząd postanowił wywiązać się zręcznie z przyjętych zobowiązań i przerzucić ciężar odpowiedzialności na Sejm. W momencie, gdy już ujawniły się pierwsze objawy zapowiadającego się kryzysu, wywołanego niezmiernem przeciążeniem podatkowem kraju — Rząd zgłosił w Sejmie swe projekty podwyżek podatkowych, które Sejm z miejsca odrzucił.

To pierwsze posunięcie, które miało zdepopularyzować Sejm w oczach pracowników państwowych a tych ostatnich wobec społeczeństwa — nikogo nie zdezorjentowało. Gra była zbyt przejrzysta, by jej opinja publiczna należycie nie oceniła. Zorjentował się w tem i Rząd i po wznowieniu Sejmu przedłożył jeszcze raz swoje projekty podatkowe w zmodyfikowanej formie.

„Wyszło szydło z worka"

W Sejmie tym razem zmieniono taktykę. Projektów rządowych w pierwszem czytaniu nie obalono. Poszły do komisji, gdzie referaty rozebrali członkowie rządowego klubu B. B. I teraz dopiero... „wyszło szydło z worka". Zgórą cztery miesiące czasu, jakim dysponowała komisja skarbowa Sejmu, której przewodniczył przedstawiciel B. B. pos. Krzyżanowski nie wystarczyło nawet na rozpoczęcie dyskusji nad projektami, gdyż pp. referenci nigdy nie byli gotowi z referatami...

Przyczyną tej niegotowości była stała niemożność osiągnięcia porozumienia w łonie członków B.B. co do poparcia lub odrzucenia projektów rządowych. Tak potraktował tę sprawę blok „współpracy z Rządem", a energiczne jego prezydjum z p. pułk. Sławkiem na czele nie znalazło sposobów załatwienia tej sprawy.

Dziś, gdy sesja sejmowa zamknięta p. pułk. Sławek każe uchwalać na zjeździe b. legjonistów patetyczne deklaracje o „twórczej demokracji", budującej potęgę państwa na „szczęściu duchowem i materjalnem (a jakże!) najszerszych warstw", broniącej „praw człowieka pracującego przed niemoralnościami partyjnictwa, warcholstwa i... wyzysku".

Kto naiwny niechaj wierzy — kończy nasz korespondent — wśród pracowników państwowych p. Sławek i tow. tych naiwnych już nie znajdą...

Prawa człowieka pracy w sanacyjnym wydaniu

To Sławkowskie sypanie piaskiem w oczy o obronie „praw człowieka pracującego" odbywało się przy milczącej aprobacie zebranych w Nowym Sączu garści b. legjonistów w 5 dni potem, gdy istniał już oficjalny dowód, na to jak obóz sanacyjny pojmuje obronę praw człowieka pracy przed wyzyskiem, w jaki sposób budować chce potęgę państwa na szczęściu duchowem i ... materjalnem najszerszych warstw narodu. Dowodem owym, tym historycznym już dzisiaj dokumentem, był ogłoszony w dn. 6 sierpnia (zapamiętajcie tę datę pracownicy!) tekst pragmatyki służbowej dla pracowników państwowych (Dziennik Ustaw nr. 57). W tej zaś pragmatyce widnieją dwa artykuły (125 i 126) postanawiające, że pracownik etatowy w ciągu lat 10 od objęcia służby w tym charakterze, a pracownik nieetatowy w ciągu lat 15 — może być bez podania powodów wydalony ze służby — wyłącznie na podstawie swobodnego uznania władzy przełożonej. Przeciw tej decyzji nie będą mu służyły żadne środki prawne, żadna obrona!

Stabilizacja niepewności

Twierdzimy stanowczo, że nie było w odrodzonem państwie polskiem Rządu, któryby miał odwagę wziąść na swą odpowiedzialność wydanie podobnego prawa! Nie znalazł się dotąd nikt, ktoby uważał, że rozumnie pojęty interes służby, oraz elementarne poczucie sprawiedliwości wobec pracownika — mogą dopuścić tego rodzaju stabilizację niepewności, której rezultatem być musi stały lęk pracownika o los swój i swej rodziny, hodujący serwilizm, brak charakterów, a co za tem idzie — upodlenie. Taką decyzję powziął dopiero Rząd „silnej ręki", wyszły z obozu „rewolucji majowej".

Taki komentarz prawny w jego sformułowaniu prawnem uzyskało piękne postanowienie art. 102 Konstytucji, że „praca jako główna podstawa bogactwa Rzeczypospolitej pozostawać musi pod szczególną ochroną prawa"...

Potężny środek... nadużyć

Autorowie tego sadystycznego postanowienia uznali widocznie, że i ten stan rzeczy zbyt „uszczęśliwia" pracownika kolejowego pozwalając mu łudzić się nadzieją, iż po 10 względnie 15 latach ma zabezpieczoną pracę — bo wprowadzili do art. 126 pragmatyki zastrzeżenie, że i później pracownicy mogą być pozbawieni pracy przez ...posyłanie ich na pół roku w t. zw. „stan nieczynny", a dziać się to będzie mogło „w przypadkach gdy zajdą okoliczności, nie pozwalające ze względu na dobro służby, na dalsze zatrzymanie pracownika".

Słowa, zapowiedzi — (c. d.)

Cudowna formuła „dobra służby"! Z powołaniem się na nią ubiegłego roku w czasie akcji wyborczej przenoszono profesorów gimnazjalnych o pierwszorzędnych kwalifikacjach, którym pragmatyka służbowa gwarantuje nieusuwalność, np. ze Lwowa do Mołodeczna, z Warszawy do Pińska... A tu „dobro służby" pozwoli prawnie pozbawiać człowieka zajęcia! Jakiż to potężny środek represyjny, jakie olbrzymie pole do wszelkiego nacisku, powiedzmy wyraźnie: do nadużyć...

Kolejarze z... salonki

Słusznie zwraca uwagę jeden z naszych korespondentów (A. Gr.) sam długoletni pracownik kolejowy jeszcze z czasów zaborczych, że tego rodzaju przepis nie może być produktem pracy i myśli kolejarzy, ludzi znających warunki pracy kolejarza, czujących — jak się wyraża — służbę kolejową. Służba ta, bardziej niż każda inna wymaga uregulowanych warunków pracy, w których pracownik mógłby z całym spokojem, nie szargany innemi troskami życiowemi, oddać się tej w przeważającej ilości dziedzin niesłychanie odpowiedzialnej, zużywającej nerwowo organizm ludzki pracy.

Przepis taki urodził się chyba tylko w głowie biurokraty od zielonego stolika, który kolejnictwo zna z papierowych sprawozdań urzędowych i z wygodnej jazdy „salonką", lub luksusowym „Pulmanem" I-szej klasy...

Zapłata za ofiarną pracę

I za co — z wielką goryczą zapytuje weteran kolejowy — potraktowano tak właśnie kolejarzy, to jest tę gałąź pracowników publicznych w Polsce, której inicjatywę i energję w uruchomieniu ruchu kolejowego w przełomowych dniach listopada 1918 r. — niejednokrotnie z takiem uznaniem podkreślano. Czy dziś już o tem zapomniano — jak również o pełnej ofiarności i poświęceniu pracy kolejarzy polskich w okresie najazdu bolszewickiego?

Ale być może za daleko by nas zaprowadziło snucie myśli na ten temat i dlatego przerwać musimy ze wszechmiar słuszne i trafne choć bólem i żalem zaprawione uwagi „starego kolejarza", który pisze, że „nie o takiej pragmatyce marzył kolejarz polski z rąk Rządu polskiego"...

Błędy które się mszczą...

Ten temat — niejako bilans zawodów i rozczarowań — zajmuje bodajże najznaczniejszą część wywodów naszych korespondentów. Jeden z nich (Rem. Rut.) bardzo trafnie nawiązuje do okresu gabinetu koalicyjnego z końca 1925 r. i pierwszych miesięcy 1926 r. i podnosi, że wówczas ogół kolejarzy oczekiwał uchwalenia przez Sejm — w jego większości rządowej, do której jak wiadomo m. in wchodziły stronnictwa N. P. R. i P. P. S. pragmatyki służbowej, opartej na uznaniu słusznych interesów pracowników kolejowych wysuniętych przez ich związki zawodowe. Autor przypomina, że ów Rząd, P. P. S. lekkomyślnie rozbiła, a przeciwko następnemu, w programie, którego jako koncesja dla N. P. R., mieściło się zobowiązanie większości parlamentarnej do uchwalenia w ciągu 2 mies. pragmatyki dla kolejarzy — P. P. S. wraz z socjalistycznym związkiem kolejowym (Z. Z. K.) urządziły strajk generalny, popierając tem czynnie zamach majowy...

O wspólny front

Przypomnienia niewątpliwie słuszne i bardzo przez swą ścisłość historyczne... wymowne i pouczające... Autor ich snuje w związku z niemi szereg bardzo interesujących uwag. Wybaczy nam jednak, że z nich — może na razie tylko — nie skorzystamy. Zbyt dużo mają momentu polemicznego, aczkolwiek pełnego trafności. Ale zgodzi się z nami ich autor, że kłócą się one z innym, bardzo słusznie przezeń wysuniętym, apelem do związków kolejowców, w którym mieści się zapytanie, jak te organizacje powołane do obrony praw i interesów pracowników kolejowych, zamierzają reagować na wchodzącą z dniem 1 września r. b. pragmatykę?

Ze wszech miar godny podkreślenia apel do jedności i solidarności wszystkich zrzeszeń pracowniczych, do zapomnienia o drobnych różnicach i tarciach, gdy w grze są sprawy decydujące o „losie i przyszłości kolejarza polskiego" — wymaga innej atmosfery. Tak niewątpliwie ocenia te rzeczy 200 tysięczna rzesza pracowników kolejowych. Świadomi jej znaczenia i roli w życiu państwowem, powołani na swej skromnej placówce publicystycznej do służenia pomocą rzeczom słusznym i sprawiedliwym — podtrzymujemy ten apel publicznie, przekonani, że odpowiedzią nań będzie zgodna, solidarna i pełna poczucia odpowiedzialności akcja ogółu kolejarskiego w obronie swych własnych praw i interesów.

MOZE TAK—MOZE NIE

Jak to było w Katowicach?

Od jednego z naszych przyjaciół, stałego mieszkańca stolicy, któremu wypadło w ubiegłą niedzielę (18 b. m.) być w Katowicach, otrzymujemy garść wrażeń osobistych na temat odbywających się w tym dniu uroczystości obchodu 10 letniej rocznicy pierwszego powstania górnośląskiego.

Już poprzedniego dnia — pisze nasz informator — wyczuwać się dało w mieście i najbliższej okolicy znaczne podniecenie umysłów, spowodowane zwłaszcza niefortunnym zakazem obchodu, organizowanego przez zjednoczony komitet organizacyj narodowo - chrześcijańskich. Motywy tego zakazu, oparte na ukazie króla pruskiego Fryderyka z 1794 r. — są przedmiotem niemal powszechnej krytyki. Nie dało mi się słyszeć opinji, któraby usiłowała usprawiedliwić to niezrozumiałe zarządzenie. Najobjektywniejsi obywatele, jak najbardziej dalecy od niechęci do tego kursu politycznego, który reprezentuje p. wojewoda Grażyński — chcą w niem widzieć jakieś nieporozumienie, spowodowane wysoce nienormalną i podnieconą atmosferą, jaka w tej chwili panuje w życiu publicznem G. Śląska.

Niezadowolenie w szerokich kołach wzmacnia fakt udzielenia bezpłatnego przejazdu koleją na uroczystości obchodowe tylko do dyspozycji sanacyjnego Związku Powstańców Śląskich, a odmówienie go zwolennikom organizacyj narodowo - chrześcijańskich jak Związek Obrońców Śląska, Nar. Zw. Powstańców Śląskich i Żołnierzy i in.

To też w niedzielę zapełniły się Katowice dużemi zastępami przyjezdnych głównie „Strzelców“ ze Śląska Cieszyńskiego, z Zagłębia Dąbrowskiego i Krakowskiego, z Częstochowy i t. d. by wziąć udział w oficjalnym obchodzie, natomiast rodowici Górnoślązacy z najbliższych okolic Katowic stawili się w Katedrze na nabożeństwie urządzonem z inicjatywy komitetu organizacyj narodowych. Przybyły olbrzymie tłumy ludności, które zapełniły katedrę i plac kościelny. Samych sztandarów stowarzyszeń i związków było ponad 100.

Po nabożeństwie i podniosłem kazaniu samorzutnie zupełnie uformował się pochód, który ruszył w stronę pl. Wolności. Przy ul. Andrzeja natrafiono na silny kordon policji broniącej wejścia do miasta.

Po minięciu pl. Wolności pochód ruszył na ul. 3 Maja. Wylot tej ulicy obstawiony był kordonem policji pieszej, za którą stała w pewnem oddaleniu policja konna, gotowa do szarży. Nadszedł moment krytyczny. Łatwo mogło dojść do zderzenia demonstrantów z policją... Zmysł dyscypliny ludu śląskiego jednak zwyciężył. Chcąc uniknąć za wszelką cenę niepożądanych starć, pochód skierował się na ul. Sokolską, aby okrężną drogą dojść do miasta. U wylotu tej ulicy natrafiono również na silne kordony policji, która zatarasowała ul. Opolską i narożnik ul. Sokolskiej. Był to drugi moment krytyczny, w którym na skutek wzrastającego zdenerwowania zdawało się, że dojdzie do jakichś ubolewania godnych zajść...

I tu jednak zimna krew i spokój opanowały sytuację. Pochód wrócił na pl. Wolności, gdzie przystanął koło pomnika poległych powstańców.

Pod pomnikiem złożono wieńce, m. in. od delegacji powstańców wielkopolskich, poczem nastąpiły przemówienia pos. Korfantego i innych przedstawicieli organizacyj b. powstańców i pracowników plebiscytowych. Wspólną nutę tych przemówień stanowił gorący protest przeciwko zakazowi urządzenia obchodu i apel, by lud śląski nie zrażał się dzisiejszemi trudnościami, ale w solidarnym wysiłku wytrwał w walce o lepszą przyszłość dla Śląska i Polski.

W przemówieniach tych uczczono pamięć poległych i zmarłych bojowników o wolność G. Śląska, w szczególności pierwszego wojewody ś. p. Rymera. Na zakończenie odśpiewano hymn narodowy i wzniesiono okrzyki na cześć Śląska i Rzeczypospolitej.

W powrotnej drodze pochód wymijając ciągle wyloty ulic, obstawione przez policję pieszą i konną — skierował się na Załęże. Tu na placyku przy ul. Prezydenta Wojciechowskiego odbyła się defilada organizacyj przed ich przewódcami. Trwała ona 50 minut. W karnym szeregu kroczyli członkowie różnych organizacyj, zwolennicy Korfantego, obok N. P. R-owców. W pochodzie niesiono różne transparenty z napisami: „Niech żyje autonomja“, „Precz z dyktaturą“ „Domagamy się wolności prasy“ i t. d.

Następnie uczestnicy pochodu zgromadzili się w dużym ogrodzie Wismacha, gdzie wygłoszono znowu kilka przemówień m. in. przez p. Korfantego i b. pos. Sikorę.

———:o:———

Tyle nasz informator. Podajemy jego informacje dosłownie, jako historyczny opis tego, w jaki sposób lud górnośląski musiał uczcić rocznicę wybuchu pierwszego powstania przeciwko Niemcom. Źródła urzędowe podały inne opisy. Dla całości obrazu i ścisłości, dla użytku przyszłego historyka — trzeba, by i ten był znany.

Komentarzy on nie potrzebuje. Działo się to jedenastego roku od odzyskania niepodległej Polski, gdy ministrem spraw wewnętrznych był dr. Felicjan Sławoj Składkowski, a wojewodą śląskim z jego ramienia dr. Michał Grażyński. W owym to roku obowiązywał jeszcze na polskim G. Śląsku ukaz królewsko-pruski, wydany przed 135 laty przez króla Fryderyka, tego samego, co wsławił się wiarołomnym traktatem przyjaźni z Polską w epoce Sejmu Czteroletniego i brał udział w rozbiorach naszej Ojczyzny.

Na podstawie tego to ukazu zakazano odbycia obchodu...

„Względy strategiczne” górą!

W kołach, obznajmionych z historją likwidacji majątków niemieckich, co do których p. Zaleski zawarł niedawno w Madrycie słynną „umowę“ z min. Stresemannem — wyrażają zdziwienie, jak wielką rolę w naszej polityce likwidacyjnej odgrywają względy... strategiczne.

Wśród owych 300 kilkunastu ponoć objektów spornych, które w myśl umowy z p. Stresemannem trzeba będzie zwrócić dawnym właścicielom niemieckim, względnie zapłacić za nie sute odszkodowanie — znajduje się m. in. maj Wąsowo, w pow. Nowo-Tomyskim, woj. Poznańskiego. Piękny, z 3 folwarków złożony, doskonale zagospodarowany majątek...

W pewnym momencie wpływa do odpowiednich władz pismo Ministerstwa Spraw Wojskowych, że pożądana jest likwidacja tego majątku ze względów... strategicznych. „Względy strategiczne“ w Polsce takie mają pierwszeństwo, że bez długiego badania rzecz przeszła wszystkie instancje i Wąsowo z przyległościami znalazło się wśród uchwał Rady Ministrów, jako mające ulec wywłaszczeniu od dotychczasowego właściciela Harta.

Gdy formalnościom stało się zadość... wyszła na jaw rzecz nieoczekiwana. Na Wąsowo znaleźli się... prywatni reflektanci z pośród dygnitarzy wojskowych Bardzo znaczna, wpływowa „trójka“. Sami generałowie. Panowie: P., D. i G. Jeden wysoko sytuowany, bo aż w Sztabie, ongiś Generalnym, dziś Głównym, drugi ważna figura w samem sądownictwie wojskowem, trzeci nie bylejaki kawalerzysta! Nic dziwnego, że gdzie tak wpływowe gatunki broni się zjednoczyły — „względy strategiczne“ musiały przeważyć...

Narazie układ madrycki p. Zaleskiego z p. Stresemannem popsuł wszystko. Zresztą kto wie. „Względy strategiczne“ to taki silny argument, że może i te trudności przeważy.

Nieznana zasługa p. Czechowicza.

Gdy mowa o przemożnym wpływie „względów strategicznych“ — poczucie sprawiedliwości nakazuje ujawnić nieznaną zasługę, jaką ma b. minister Czechowicz, który w toku swego urzędowania, gdy widział zbyt... naciągnięte pojmowanie tego interesu — umiał znaleźć dość siły, aby mu się oprzeć. Dziś, gdy tak żywe są jeszcze echa „przestępstw“ b. ministra skarbu, sądzonych przed Trybunałem Stanu niechże ta jego istotna zasługa też nie będzie nieznaną.

Historja, jakich za ery pomajowej wiele. Istniała sobie (bodaj istnieje jeszcze) na Wołyniu pod Kowlem fabryka terpentyny „Jarot“, której właściwymi właścicielami są oczywiście starozakonni, a w drobnym procencie dla szyldu, stosunku z władzami i t. d. pewien dygnitarz sanacyjny, najautentyczniejszy wojewoda.

Fabryka potrzebowała kredytu. Kto w tych ciężkich czasach nie potrzebuje kredytu? Ale Bank Gospodarstwa Krajowego, jedyne tanie źródło kredytu w Polsce — uznał, że stan interesów fabryki nie daje podstaw do przyznania jej żądanej pożyczki. Od czegóż jednak rozległe stosunki współwłaściciela „Jarota“. Pod wpływem jego przedstawień, popartych przez jego przyjaciela, a wpływowego wówczas szefa gabinetu pewnego dygnitarza (dziś pracuje w dyplomacji!) u innego jeszcze wpływowszego szefa gabinetu — wpływa ze strony tego ostatnie-

Może tak — może nie (c. d.)

go resortu pismo do Ministerstwa Skarbu polecającą fabrykę „Jarot“ jako potrzebną ze „względów strategicznych“...

P. Czechowicz jednak uparł się i „Jarot“ w Banku Gosp. Kraj. pożyczki nie dostał.

I pomyśleć, że człowiek tak silny w sprawie kredytów ze „względów strategicznych“ okazał się tak słabym w sprawie ... wydatków na wybory, że aż trafił przed Trybunał Stanu!

Jeszcze sprawa gen. Zagórskiego

Na marginesie zatwierdzonej konfiskaty.

Kampanja prasowa wszczęta ostatnio przez „Placówkę“ i „Myśl Niepodległą“ na temat swoistych praktyk z stosowaniem dekretu prasowego, w których wyniku prasa została pozbawiona nawet tych praw, jakie jej przyznał ów osławiony dekret — przyniosła nieoczekiwany rezultat.

Oto w decyzjach Sądu Okręgowego zamiast steoretypowych do niedawna wyrazów, że zatwierdza się takie a takie „zajęcie“ pisma, upatrując w nim cechy przestępstwa z takiego a takiego artykułu dekretu, względnie także i kodeksu karnego — obecnie wprowadzono nowość, polegającą na umotywowaniu tej decyzji sądowej.

Nieprawdziwe pogłoski

Nowość tę — o ile mogliśmy zauważyć — wprowadzono po raz pierwszy w uzasadnieniu zatwierdzenia konfiskaty „Robotnika“ za ogłoszenie listu Bol. Limanowskiego, oraz w wydrukowanej przez nas w ostatnim numerze decyzji, zatwierdzającej konfiskatę artykułu pod tytułem „L. 24“, umieszczonego w nr. 34 „Placówki“.

Otóż, według brzmienia wspomnianej decyzji, konfiskata odnośnego artykułu „Placówki“ nastąpiła z powodu tego, że artykuł ten „zawiera nieprawdziwe wiadomości o sprawie gen. Zagórskiego i działalności władz państwowych, które to wiadomości nieprawdziwe mogą wywołać niepokój publiczny“.

Chylimy czoła przed decyzją Sądu, pragniemy jednak ze stanowiska ściśle pojmowanych przez nas zasad praworządności wypowiedzieć przy tej okazji kilka uwag.

Zyje - czy nie żyje?

T. zw. sprawa generała Zagórskiego nie jest sprawą w normalnem tego słowa znaczeniu określoną i zamkniętą. Nikt prawnie i ostatecznie nie ustalił co się z gen. Zagórskim stało. Na ten temat krąży w społeczeństwie szereg przypuszczeń i pogłosek. Jednej np. dała wyraz autorka skonfiskowanego równocześnie w „Placówce“ artykułu p. t. „Dwa lata tajemnicy gen. Zagórskiego“ którą to konfiskatę Sąd Okręgowy uchylił, iż „nikt nie wątpi, że go niema między żyjącymi“.

Innego np. zdania są władze wojskowe, które w „Roczniku Oficerskim“, wydanym przez Min. Spraw Wojskowych umieściły przy nazwisku gen. Zagórskiego znak (==) oznaczający oficera... zaginionego...

Brak dowodów

Przypomnijmy dalej, że śledztwo, wszczęte po tajemniczem zniknięciu gen. Zagórskiego, zostało... umorzone, czy też tylko przerwane z braku dostatecznych ...dowodów i poszlak. Pamiętamy także, że na temat poszlak różne się rzeczy w Polsce mówiło w sposób ...niedomówiony, m. in. także i w Sejmie, a bardziej konkretnie echa tych... niedomówień oświetlano w prasie zagranicznej...

Co więcej — w jakiś rok po zniknięciu gen. Zagórskiego jakaś tajemnicza ręka rozkolportowała szeroko w całem państwie anonimową ulotkę p. t. „Prawda o gen. Zagórskim“, o czem w swoim czasie donosiła prasa. Ulotka ta zawierała cały szereg rewelacyj tak sensacyjnych, że prasa obozu rządowego nazywała je „nikczemnemi“ i t. p. Wiadomo, że jakoby w związku z kolportowaniem tej ulotki władze poczyniły wówczas cały szereg aresztowań. Pamiętamy, że m. in. dokonano licznych aresztowań wśród urzędników magistratu m. Kielc, a także wśród członków Obozu Wielkiej Polski we Lwowie, którą to organizację w związku z tem ujawnionem „nielegalnem działaniem“ nawet na terenie Wschodniej Małopolski rozwiązano...

Na światło dzienne

Logicznie należało oczekiwać, że przynajmniej przy sposobności rozpraw sądowych przeciwko zaaresztowanym o te przestępstwa, sprawa gen. Zagórskiego przynajmniej w pewnych fragmentach, znajdzie się na forum sądowem i przynajmniej jakaś część światła na nią padnie.

Mija właśnie dwa lata od tych aresztowań. O rozprawach sądowych głucho, natomiast Sąd Okręgowy w motywach zatwierdzenia konfiskaty utrzymuje, że pewne wiadomości o tej głośnej sprawie są „nieprawdziwe“ i mogące „wywołać niepokój publiczny“.

Leżałoby niewątpliwie w interesie publicznym, gdyby opinja polska mogła się dowiedzieć, które to wiadomości noszą ten charakter? Nie tak dawno jeszcze temu ulegały bezwzględnej konfiskacie wszelkie aluzje, że gen. Zagórski może już nie żyje. Dziś już się publicznie drukuje, iż „nikt nie wątpi, że go niema między żyjącymi...“

Sądu i tylko—sądu!

A przecież w rękach władz, dbałych o „pokój publiczny“, dysponujących ostremi środkami represji za rozgłaszanie „nieprawdziwych wiadomości“ o „działalności władz państwowych“ — leży możność ustalenia, co w tej sprawie już jest wiadomem, a co jeszcze jest... tajemnicą...

Sposobność do tego dała m. in. skromna nasza „Placówka“, ryzykując ogłoszenie artykułu, za który, skoro władze są przekonane, że zawiera wiadomości „nieprawdziwe“ i mogące wywołać „niepokój publiczny“ winna ponieść zasłużoną konsekwencję...

Być może mniejby wtedy kursowało po Polsce „nieprawdziwych wiadomości“ bo mimo ciemnych jeszcze oparów tajemnicy przewód sądowy niewątpliwie wieleby już wyjaśnił.

Zamiast tego znamy tylko decyzję, zatwierdzającą konfiskatę inkryminowanego artykułu, co, mimowoli, oznacza, że w tajemniczej tej sprawie istnieć i nadal będzie nieograniczone pole do wszelkich pogłosek i poszlak...

Wydaje nam się, że to nie jest właściwa droga przeciwdziałania „niepokojowi publicznemu“...

Prasa niezależna ma w dzisiejszem położeniu kraju do spełnienia wielkie zadania.

Czytajcie i rozpowszechniajcie „P L A C Ó W K Ę“

GROCH Z KAPUSTĄ

Kres plotkom.

Nareszcie nastąpił fakt, który radykalnie i ostatecznie położy kres plotkom, a gadkom paskudnym, sanację o związki z żydostwem i masonerją posądzających.

Cóż to za kawał dla „Gazety Warszawskiej" przedewszystkiem, która temat do codziennych p. Pieńkowskiego rozważań traci.

Choć, mówią w redakcji, że wielkich tam z tego powodu lamentacji znów nie będzie.

A stało się oto, że masonerja w loży swej tajnej, sprawę rozważywszy, siedemnastu swych braci z drem Chodźką na czele na łeb zbity z loży wyrzucić kazała.

I to z powodu, że akces swój do sanacji zgłosiwszy, ciągle mimo wszystko w „grzechu" tym trwali.

Jasne więc, że z żydowstwem owszem owszem, ale z masonerją ani, ani.

Choć ludzie złośliwi twierdzą uporczywie, że zbrzydły masonerji brudy przeróżne, ustaw łamanie, słowem obyczaje iście prystorowe, które do takowych dziwolągów dopuszczają, iż urzędnik państwowy, któremu płatnych posad przyjmować nie wolno, przez urząd państwowy na takowe miejsce jest desygnowany, jak to było z p. Chodźką, państwowego instytutu hygieny dyrektorem, a od dni kilku pana prystorowym dekretem naczelnym komisarzem Zw. Kas Chorych kreowanym. Lecz stwierdzić należy, iż złośliwość ludzka granic niema, a cały ów harmider z zasadniczej tezy wyniknął.

— Bo, powiadają masoni, z djabłem tam niby w kontakcie jesteśmy, czarne msze też codziennie odprawiamy, ale to drobiazgi są, z sanacyjnymi obyczajami porównawszy. A wiadomo; kto tam wlezie, to prędzej, czy później w jakieś tam brudy wpadnie, forsę „dłużen zostanie" i wogóle kieszenie sobie zbyt „wydelikatni".

Potem tylko wstyd, i dla loży byłoby — nie tego.

Więc lepiej się asekurować. I dla wszelkiej pewności odrazu takich panów od misterjów lożowych i pocałunków braterskich odstawić. Niech się tam do bractwa strzeleckiego, brygady lotnej, libo pana Prystora loży w teatrze Qui pro Quo zapiszą.

Byle z loży precz poszli.
Won!
Na podwórko!
Sanacyjne!
Pod żłób.

Bo przy żłobie miejsca już od roku za biletami miesiąc z góry są wykupione.

Dziecięca krucjata.

Jest rzeczą znaną, że im człek jest młodszy, tem łatwiej się byleczem przejmuje i entuzjazmuje.

Z wiekiem, człowiek bowiem trzeźwieje, poważnieje, ostyga, różne łuski z oczu mu spadają i zaczyna patrzeć na rzeczy zimno i krytycznie.

Różne bezwartościowe wielkości do poziomu właściwego sprowadza, przeróżne hasła i odezwy na śmietnik, za okno wyrzuca. Słowem — solidnieje.

Jasnem jest, że najłatwiej entuzjazmują się dzieci, jako istoty bezkrytyczne, sieczki od czegoś porządnego odróżnić nie umiejące.

Dziecięcy również zapał objawiają ludzie starzy, ludzie, którym już ze starości gruczoły „rozsądkowe" wyschły bezkrytyczne, a naiwne zdziecinnienie jeno pozostawiając.

Klasycznym takiego dziecięcego entuzjazmu dowodem, była jedna (czy bodaj dwie nawet) wyprawy krzyżowe, w których udział brały wyłącznie — dzieci. Smutnie się owe średniowieczne ekskursje skończyły: dzieci w Konstantynopolu w jasyr sprzedano, a starsi, dojrzali ludzie i tak na wyprawy niepojechali, realnie się na takie eksperymenty patrząc.

Rozważanie powyższe nasunęło nam 6 - sierpniowe „święto" gdzie pustka, a puchy, aż oczy rwały.

Przy trzecim moście żywej duszy, na trasie belwederskiej — takoż. Jeno dzieci ze szkół powszechnych: przedszkoli samorzutnie „sierpniówkę" mieć postanowiły. Tedy obserwować można było istną krucjatę dziecięcą z powagą przez Aleje Ujazdowskie kroczącą.

I kilku bardzo, bardzo starych panów i niemniej wiekowych pań nad pochodem owem czuwających. Z ludzi dojrzałych, w wieku młodym, średnim, czy... starym nawet — ani na lekarstwo.

Żywej duszy.
(Martwej też).
Klapa. Plajta. Run.
Finis legendae.
Sic transit gloria mundi.

HOCKI — KLOCKI

PODOBNO NAPRAWDĘ.

Podobno min. Matuszewski poobcinał cały szereg „koniecznych" wydatków i „specjalnych" funduszów.

Między innymi, uległ skasowaniu t. zw. „fundusz samochodowy".

Dygnitarze, na których obecnie przypada tura urlopowa znaleźli się więc w przykrem położeniu i uważają się za pokrzywdzonych w stosunku do kolegów, którzy już swoje „wyjeździli".

Powstał więc projekt uzyskania potrzebnych środków, drogą „dobrowolnych" składek na fundusz dyspozycyjny dla... „STRATEGICZNEGO BADANIA SIECI DRÓG I MOSTÓW".

Stosowne okólniki do wojska (rozkaz — święta rzecz) i urzędników, posada — to chleb dla rodziny) — są jako by opracowywane.

AUTENTYCZNE.

Przed Księgarnią Arcta na Nowym Świecie stoi dwu oficerów kapitan i major oglądając nowości wydawnicze. Obok siebie widnieją w oknie: „studjum" Cezarego Jellenty p. t. „Józef Piłsudski, jako pisarz i mówca" (nakładem Tow. Wiedzy Wojskowej) i książka jakiegoś Tomasza Ozimka p. t. „Pijany prelegent".

Oficerowie, którzy „mieli przyjemność" wysłuchania prelekcyj p. Cezarego w kasynie garnizonowem — zwrócili uwagę na jego książkę.

Widzisz — mówi kapitan — Jellenta wydał już swoje dzieło.

A na to major, który był trochę krótkowidzem: — Tak, i to pod trochę dziwnym tytułem: „Pijany prelegent".

ECHA ROCZNICY.

— U nas wszystko się doprawdy dzieje naodwrót, niż w normalnem państwie.

— ???

— No tak — pułkowników wozi się Packard'ami, a jenerałów — Cadillac'ami.

*

— Mówią, że gen. Zagórski nie żyje. Czy nie wiesz, na co umarł?

— Zagryzły go podobno... wendy.

*

„Idealny typ sanatora winien posiadać przynajmniej jedną olpińjadę w swej przeszłości, czoło — miedzińskie, stpiczasty nos, członki odpowiednio ... sprystoryzowane, palce chwytne, subsydjalne, językiem winien bartlować obrotnie, węszyć jak wyżeł, być łagodny jak Daniel i hodować wendy".

(Z książki: „Ideał naszego człowieka" Warszawa, nakładem Rodziny Wojskowej.).

Z CYKLU — „RADOSNA TWÓRCZOŚĆ"

Generałowa i płatnicy

Hej czasy nasze, czasy!

Opowiadać będzie o was legenda; śpiewać będą latami dziadki kalwaryjskie i częstochowskie... Tupet, brawura, wściekłe ryzykan two, dużo radości i odrobina kryminału; potrosze jak z nowelki Szczedryna.

Posłuchajcie więc ludkowie, co się stało w pewnem niezgorszem w Rzeczypospolitej mieście: był tam na stanowisku wysokiem pewien generał, mocny, wpływowy, z komendantem — jak sam bunctwot mawiał — niemal „na ty". Rządził i reprezentował siarczyście, pchał się też do Warszawy wszystkiemi siłami, ale sam najwyższy rzekł podobno: „niech tam ten Cyprjan... siedzi — nie trzeba go nam tutaj".

Żonę też miał niezgorszą niewiastę, z urodzenia i pierwszego męża zacną kupczychę krakowską; ambicja duża, tupecik no i... wydatki. Ale choćby były i największe poradzić sobie można; czyż to nie jesteśmy na własnych śmieciach? w zdobytej na nowo Polsce? Woła tedy zapobiegliwa gospodyni raz i drugi taką szarą w dowództwie figurę, która zwie się płatnik i każe sobie wybulić zaliczkę mniejszą lub większą... „Potem mąż — pan rozumie..."

Po jednym płatniku zjawił się pokornie drugi, trzeci... Zaliczki szły tak statecznie prawie dwa lata. I któżby śmiał się upomnieć?..

Aż tu grom z jasnego nieba. Licho jakieś nasłało na tę radosną Rzeczpospolitę niejaką N. I. K. Łażą i myszkują takie cywilusy po rozmaitych urzędach i kasach i nos wtrącają, gdzie wcale nie potrzeba. Namacali też i owych tajojskich płatników i spora suma około 6.000 złotych wylazła. Przyparli biedne oficerzyny do muru, no i wyłazi: Pani generałowa.

Sytuacja wylazła nieprzyjemna; bo to i wyrównać trzeba zaraz a cichcem grosze się chwilowo rozleźli. Generał tedy do przyjaciół o pomoc. Sprawili się gracko, gdyż piorunem, telegraficznie przysłali z Warszawy 6-miesięczną zaliczkę (taką, o którą poczciwe pułkowniki i oficerowie w potrzebie kołatają na klęczkach miesiące całe).

Ale też telegraficznie przyszło przeniesienie z jednego krańca Rzeczypospolitej na drugi; bez awansu, bez honorów i pożegnania.

Czyż jednak generał i zacna jego połowica coś w istocie stracili? Broń Panie Boże — przecie 6-miesięczna zaliczka to prawie 15 tysięcy, a wyrównać trzeba było „tylko" sześć... Zamiast honorów gotóweczka więc została w kabz'e.

Oj czasy nasze, czasy!...

Powódź i ,,zalanie"

Dopust boży spadł na jedno z naszych kresowych województw: zalała je niedawno powódź. Ale przedtem był dopust jeszcze inny, gdyż przysłano tam tęgiego pułkownika - wojewodę prościutko ze stolicy.

Wojewoda zjeść i wypić lubi ale co do wszelkiej pracy ma wstręt zdawna wrodzony — cóż jednak począć? Powódź — trzeba tedy urzędować. Zebrała się tedy piękna komisja: naczelniki, inżyniery i referenty, wsiedli w specjalny pociąg luksusowy i zaczęła się siarczysta kontrola. Na dolinach — wiadomo, rzeki wylały, mokro — więc tam i w salonce dni i wieczory zbyt suche nie były. Ale później postanowiono, że i w górach sprawdzić trzeba, czy woda tak na wysokości 700 metrów nad poziom morza czego nie zalała...

Pojechali tedy dostojnicy w górę, do miejscowości znanej i pięknej: cicho tam i pięknie; letnicy prażą się nad rwącą rzeką, cieszą się i kochają.

Hej góry moje, góry!...

Powódź nic tam nie zalała ale ludziska się zalali. Sam p. wojewoda „prowadzi bal": więc zaczęło się w „Nadziei" a potem poprawiny u „Skrzyńskiego"; stamtąd znów pod dobrą datą do „Nadziei", a potem do innego, zacisznego pensjonatu.

Wódeczność lała się jak ten Czeremosz czy Bystrzyca; humory kwitły, brzuchy zacnie wypełnione trzęsły się po staro polsku...

Aż wreszcie p. wojewoda, człek otyły niczem Zagłoba, jako że krwi rosyjskiej ma w sobie trochę po antenatach — począł walić stoły, tłuc szkło i lustra... Hu — ha! zabawa!...

A brzuchem dostojnym wycierając mocno już użyźnioną podłogę — wzdychał i ryczał: kanieczno! kanieczno!...

Mówią, że w tym bezprzytomnym okrzyku człowieka zacnie podchmielonego — była jakaś aluzja do jego własnego nazwiska. Ale to pewno obrzydliwa złośliwość...

Pół-świadek.

Konstelacja świętej zgody.

Powszechnie się mówi, że pakt sanacji z endecją dobiega już „szczęśliwie końca" i lada dzień ukaże się „wspólna enuncjacja" w „Gazecie Warszawskiej" i „Głosie Prawdy"...

Wtajemniczeni opowiadają nawet na ucho personalja; zmiany mają być zresztą minimalne,tak że trzon rządu pozostanie bez naruszenia dawnej ideologji.

Ponieważ więc szef gabinetu i tak ma odejść na spoczynek — miejsce jego zajmie poseł Trąmpczyński: min. Cara zaraz po powrocie z Nizzy — zastąpi poseł Pieracki: Min. S. Wojsk (gen. Haller podobno propozycji nie przyjął) obejmie prawdopodobnie — gen Kuliński.

Inni zostają. Z drobniejszych zmian zaznaczyć warto, że wydział prasowy w województwie grodzkim (wraz z cenzurą) powierzyć mają p. Adolfowi Nowaczyńskiemu.

Gabinet taki niewątpliwie będzie obrazem świętej w Polsce zgody i rządzić może długo i szczęśliwie...

Kik.

Humor polityczny.

NOWA SZLACHTA.

W wysokich sferach od dłuższego czasu dyskutuje się nader aktualną sprawę nowych tytułów szlacheckich, które prócz zaliczek i orderów mają być nagrodą za szczególne zasługi i wierność: Odpowiedni dekret ukaże się podobno w najbliższych tygodniach, a jeśli uchylić nam wolno rąbka tajemnicy — zawierać będzie następujące utytułowane nazwiska: Kazimierz de Biarritz Świtalski, Jędrzej von und zu Harriman Moraczewski, Grzegorz Prystor - Srogi, Stanisław de Blikle Car, Mieczysław de Płatniki Norwid, Edward Rydz Śmigły Defektowicz.

Odpowiednie herby w opracowaniu. Dalsze nazwiska będą ogłoszone niebawem.

SMAKOŁYK NA CZASIE.

Słynie w sferach palestry warszawskiej pewna stara jadłodajnia na Miodowej, gdzie też i z ministerstwa i z sądów tłum ludzi wpada na sznapsa i przekąskę. Od lat podawano tam wyborne „bliny po litewsku".

Jakież było zdziwienie bywalców, gdy niedawno zamiast blinów nową znaleźli w karcie potrawę: „Blikle a la Negresco".

Podobno wyśmienita!

Kik.

Cena prenumeraty: rocznie zł. 12, kwart. zł, 3.50 mies. zł. 1.20
Ceny ogłoszeń: 1/1 str. 300 zł., 1/2 160 zł., 1/4 90 zł., 1/8 50 zł.; w tekście o 35% drożej.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Sienna 33, tel. 106-25 **Konto P.K.O. 19.070**

Redaktor i wydawca **Wacław Dziekoński.** Druk. „ARS", Warszawa, Sienna 33, tel. 106-25.